

Anna Karwatówna

Kachna

Obrazek Ludowy w 3ch Aktach.



W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

Copyright by W. H. Sajewski

1916

Chicago, Ill.

KACHNA

Obrazek ludowy w 3 aktach.

Napisała
z Bardzkich Anna Karwatowa.

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

OSOBY:

Jakób, włościanin.

Kachna, jego córka.

Stanisław, włościanin.

Jan, syn jego.

Rózia.

Dorota, stara wieśniaczka.

Franek.

Mosiek.

Włościanie i włościanki. — Żyd muzykant.

Rzecz dzieje się w wiosce włościańskiej.



I 1.575.665

2000 4 375/45

63

AKT I.

Izba Jakóba; obrazki na ścianie, zegar, stół pod oknem, kilka stołków, szafa za szkłem z talerzami i kubkami. Po prawej stronie okno, po lewej i środkiem drzwi.

SCENA I.

Dorota i Rózia wchodzą środkiem.

Dorota.

A co, Róziu, ładna Kachna?

Rózia z przekąsem.

Dziś się wystroiła, to i ładna.

Dorota.

Ładna, bo dobra! Czy nie wiesz, Róziu, że cnota jaśnieje z twarzy człowieka, a dusza jak w lustrze odzwierciadla się w oczach ludzkich? Piękna szata niczem, — ustrój kij, to jednak kijem zostanie; wsadź kozie złotą koronę, ona ci jednak nie zaśpiewa, tylko zabeczy.

Rózia.

Prawdę mówicie, Doroto, ale szata! zawsze przystroi; dlatego też Kachna lepiej się teraz ubiera, bo chce się przypodobać Jasiowi, zresztą lubi się też stroić.

Dorota.

Chociażby Kachna i w łachmanach chodziła, to Jan powinien wiedzieć, że pod tą ubogą szatą kryje się perła drogocenna! Myślisz się, Róziu, Kachna nie lubi się stroić, jej suknia zawsze skromna ale czysta, jak jej sumienie. — Dzisiejsza szata, to podarek od ojca na zaręczyny jedynej i ukochanej Kachny.

Rózia.

Doroto, stara jesteście, więc doświadczona, powiedzcie otwarcie, czy Jaś Kachnie szczerze w oczy patrzy?

Dorota.

Widzę, jaszczurki lęgną ci się w mózgu! Myślisz, że jej nie kocha? A pocóżby nie? Dobra, piękna i bogata z niej dziewczyna.

Rózia.

Bogata... prawda, ale są od niej piękniejsze! (Na stronie.) Zwierciadło w komorze mówi: "Róziu, tyś ładniejsza!"

Dorota.

Nie wiem, czy na jakim dachu siedzi piękniejszy gołąb od Kachny.

Rózia.

W niedzielę przy tańcu nakładają mi chłopcy pochwał pełne uszy, tak, że cały tydzień pamiętać muszę, Doroteńko kochana; ale nie mówcie tego nikomu, że jam... (śmieje się) najśliczniejsza z całej wioski!

Dorota z przekąsem.

Jakaś to pyszna z swojej urody! Podobne głupstwa tylko też chłopcy nagadać ci mogą, bo pod czupryną nie mają jeszcze mózgu twardego — tylko galaretę!

Rózia.

Galaretę? co to galaretę?

Dorota.

Powiem ci, posłuchaj: Jako dziewczyna służywałam po dworach i widziałam, jak kucharz przyrządzał wino i szczupaka w galarecie. Galareta to takie trzęsawisko; jak się poruszy, to drży (trzęsie Rózią.) tak, jakby twoje tłuste liczko.

Rózia.

Aj! aj! już spałam dobrze, — galareta szczupak w trzęsawisku; ale, Doroteńko kochana, doktor nam tłumaczył kiedyś, jak

brat na zapalenie mózgu chorował, że mózg nie jest twardy tylko miękki, a i geś, owca i cielę ma miękki mózg.

Dorota.

Co tam doktorzy; oni więcej mówią, niż umieją. Geś, owca i cielę może mieć mózg w galarecie, ale człowiek powinien mieć mózg jędrny! Skoro i ty Róziu, nabędziesz rozumu twardego, to lepiej mi się podobać będziesz, bo dziś mnie, starej i doświadczonej kobiecie, wcale do serca nie przemawiasz!

Rózia urażona.

Ho, ho!

Dorota.

Wiem co kwiat, a co zielsko; kwiat wsadzę do szklanki i postawię na stół ku ozdobie, a zielsko.... rzucę w ką! (na stronie.) Tom jej dała, ale ładny z niej nicpoń.

Rózia złośliwie.

Szkoda wielka, że wam się, Doroteńko, nie udało (rusza ramionami.); a możeby mi się na co i przydało...?!

Dorota.

Dlaczego nie? Nie obrażaj się; jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Nie gardź zwiędłą gałązką, bo jak świeżej nie będzie, wydobędziesz ją z ką!

Rózia zagniewana.

Zwiędłych liści i starych rupieci nie lubię, wyrzucam zaraz na śmieci!

Dorota.

Języczkiem zamiatać umiesz. Powiem ci na ucho (mówi Rózi do ucha, ta się cofa.) że... że... że i ty będziesz starym rupieciem! Lecz cicho, ani słowa więcej! Idą goście Jakóba, dziwy sobie o nas pomyślą. (Stają na uboczu.)

SCENA II.

Też same, Jakób, Stanisław, Kachna, Jan, — włościanie i włościanki wchodzą z lewej str. Jakób staje pośród włościan, przy nim Stanisław, Kachna i Jan.

Doczekałem się dziś wielkiej pociechy, moi kumowie, bo zaręczyn mojej Kachny! Chodź, córko moja, (Całuje Kachnę w głowę) i ty, mój Janie. (Wkłada im pierścienie.) Kochajcie się dziatki tak, jak i my kochaliśmy się z twoją matką, Kachno z ukochaną moją nieboszczką Anulką.

Stanisław całuje Jana i Kachnę.

Niech wam Bóg błogosławi! Ale... cóż

to? Twarze wasze smutne... dziś, przy zaręczynach?

Kachna.

Jam szczęśliwa w duszy mojej, (ciszej)
kocham Janka!

Jan.

A ja ciebie, moja Kachno!

Jakób.

Słowem się nie rozweselimy; miodu, piwa dajcie, Doroto, a zawołajcie Mośka i innego żydka, niech zagrają krakowiaka.

Dorota.

Idę, idę. (odchodzi w lewo.)

Jakób.

A Franek gdzie?

Kachna.

Nie widać go od rana. (na stronie.) Dlaczego on smutny?

Jakób na stronie.

Biedny Franek, żal mi go, ucieka dziś od nas, unika nas... straszny ból w jego sercu gości! Cóż ja zrobić? Udaję, że nie widzę tego.

Rózia.

Widziałam Franka dziś rano w kościele, a później pod lasem. (do Kachny.) A wiesz

dłaczego on smutny i dlaczego się dziś tak modlił?

Kachna.

Może mu się coś niedobrego śniło, albo ma złe przeczucie.

Różia (śmieje się.)

Ha, ha, ha! (cicho do Kachny.) Bo ciebie kocha, a ty obchodzisz dziś zrękowiny z innym!

Kachna przestraszona.

Cicho, Róziu! zdawało ci się...

Różia.

Mam dobre oczy.

Kachna na stronie.

Biedny, biedny Franek!

SCENA III.

Ciż prócz Doroty, Mosiek i żyd muzykant
wchodzą z lewej strony.

Żyd muzykant.

Już biegnimy, już lecimy zagrać panom.

Mosiek.

A mazury, krakowiaki takie piękne, że palce nie będą chcieli ziemi tykać, a pięty na jablonie skoczą! aj! aj! Nu, para młoda, nie-

chaj Mosiek powinszuje: "Żebyś kwitła i ro-
sla jak złota pszenica na zagonie!"

Kachna.

Dziękuję ci Mošku!

Jakób.

Zagrajcie teraz wesoło, ażeby we wszyst-
kie serca wstąpiła otucha.

(Żydzi grają krakowiaka, reszta staje parami, Jan
z Kachną przodują.)

ŚPIEW No. 1.

Krakowiak.

Jak na drzewie jabłko
Słońce zaczerwieni,
Tak dziś pierścień złoty
Kachnę nam rumieni.
Oj dana, oj dana,
Żyj, Kachno kochana!
Oj dana itd.

(Tańczą.)

Ptaszek zaświergoce,
Gniazdko gdy buduje,
Janek też radosny,
Kachnę swą miłuje!

Oj dany, oj dany,
Żyj, Janie kochany!
Oj dany itd.

(Tańczą.)

— 218 —

Kwiaty rosną w niebo,
Słońce je ogrzewa,
Naszem słońcem miłość
Niechaj każdy śpiewa.
Oj dana, oj dana,
Miłości kochana!
Oj dana, itd.

(Tańczą.)

SCENA IV.

Ciż i Dorota z dzbankiem i kubkami.

Jakób.

Nalejcie, Doroto. (Dorota podaje kubek Jakóbowi.) W twoje ręce, Stanisławie, stary kumie; niech nam żyją nasze dziatki! (Pije, Dorota nalewa i podaje.)

Wszyscy.

Niech żyją!

Stanisław pije.

Ja do ciebie miła Kachno.

Kachna pije.

W usta twoje, drogi Janie.

Jan.

Niech żyje Dorota, co miód nawarzyła!
A wieczera będzie dobra, co Dorota?

Dorota.

Oj, doskonała! Baranina ze śliwkami, a słodko przyprawna, bo ojciec Jakób cukru nie żałował; dalej ryż z rodzynkami, a tego tak wiele, jak much, co naszły w garnek z miodem; a potem jeszcze gęś pieczona, placek jaki pulchny!

Wszyscy.

Niech żyje Dorota! Dobrze gnatki parzy!

Dorota.

Nie mnie z tego chwała, że dobrze zjecie, to sprawka ojca Jakóba; jemu zagrajcie Mośku, a dam wam wódki.

(Żydzi grają dalej krakowiaka, reszta śpiewa.)

ŚPIEW No. 1a.

Jako księżyc jasny
Swoim blaskiem świeci,
Jakób, cnotą sławny
Miłość pracy nieci.

Oj dana, oj dana,

Praco ukochana!

Oj dana, itd.

Jakób.

Bóg zapłać za piosnki, należy wam się teraz nagroda za trudy. Chodźmy spróbować przechwalonych potraw naszego kucharza, Doroty.

Dorota.

Proszę, (prowadzi wszystkich na lewo)
wszystko smaczne i kruche, gęś jabłkami wy-
pchana, a kapusta jaki kwasik ma przyjemny!
(wychodzą)

SCENA V.

Franek sam, wchodzi po chwili środkiem.

Franek.

Poszli... lepiej mi będzie tu bez muzyki.
Zdala słyszałem gwar i śpiew... i było mi
smutno, oj bardzo smutno! (Po chwili.) Mój
Boże, jam inaczej marzył... (siada przy sto-
le i podpira ręką głowę.) Kachno, gdyś była
maleńką dziewczeczką, a ja chłopakiem sporym,
pomagałem ci nieraz przebywać rowy, wdra-
pywać się na góry; szukaliśmy razem klu-
czyków i fijołków. Zmęczeni spoczywaliśmy
na trawie, ty wesoła, szczebiotliwa, jak pta-
szyna, jam smętny u nóg twoich. Patrzyłem
to w oczy twoje, to na fijołki; twoje oczy
były piękniejsze! — Kachno, nieraz zerwałaś
pokrzywę i rzuciłaś ją w twarz moją, aby mnie
rozweselić; pokrzywy były wtedy dla mnie
najpiękniejszymi kwiatami, boś ty mi je dała!

(Po chwili.) Gdy ojciec twój mnie łajał, tyś mnie broniła i zasłaniała od kary... Kachno, czy nigdy w twojej miłej główce ta myśl nie zawitała, że może... może mnie lubisz choć trochę? (Rozpaczliwie.) Boże! dziś twe zaręczyny! — Ojciec ciebie dla Jana przeznaczył; mówiłaś, że go sobie sama wybrałaś, że go kochasz... myślałem, że mi serce pęknie w tej chwili... (Wstaje odchodzi.) Nie mogę dziś patrzeć na ojca Jakóba... (Z naciskiem) Jam niewdzięczny! On mnie, sierotę, przytulił do swego ogniska, gdy matka biedna odumarała... a ja? Za chleb jego łaskawy płacę mu żalem!... Na łożu śmierci mówiła matula: "Synu, ty biednym i samotnym zostajesz wśród ludzi, cokolwiek będziesz miał, będzie z ich łaski. Pamiętaj im odpłacać szczerą pracą i kochać ich za to." (Po chwili.) Przebacz, matko, już ci nie przerwę spokoju w grobie... będę i nadal pracował pilnie Jakóbowi. (Siada.) Czasami tylko pójde poskarżyć się tym ptakom i lasom, które mnie tak często widywały z Kachną. Powiem im, żem ubogi... że nie śmiałem powiedzieć Kachnie że ją kochałem... kocham... Może piosnki ptasząt do snu mnie ukołyszają... choćby do snu wiecznego.

SCENA VI.

Franek, Dorota.

Dorota wbiega, nie widząc Franka.

Gdzie ten Franek? Rozumiem jego sieroctwo, jego ból.

Franek wstaje.

Jam tu, Doroto; mówiliście, że mnie rozumiecie?

Dorota.

Tak, mój synu, bom ja też sierota.

Franek.

Bóg wam zapłać za to, że nieraz osładzaliście mi sieroctwo, chociaż... jam niegodny serc waszych!

Dorota.

Co ty pleciesz! Jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Niema lepszego chłopca nad ciebie, Franku. (Siada.) Gdy mnie stary ojciec Jakób przed ośmiu laty przytułił do swej chaty, po śmierci męża, mego pocziwego Marcina, jako wdowę i schorowaną kobietę, gdy mnie wypiełgnowała Kachna i ty, mój Franku, poznałam od razu, jakie zacne dusze mieszkają pod tym dachem!

Franek.

Ale mnie do nich nie zaliczajcie.

Dorota.

Ciekawa jestem dlaczego?

Franek z boleścią.

Bo jestem niewdzięczny! Nie mogę się dziś cieszyć szczęściem Kachny... nie mogę dziś patrzeć na ojca Jakóba!

Dorota.

Biedny chłopcze, rozumiem cię... to nie niewdzięczność, Franku, Bóg cię pocieszy!

Franek.

Nie mogę żądać cudów od Boga dla siebie, małego robaczka!

Dorota.

Wszystko w Jego ręku! Ale zwalcz się, synu mój; człowiek dużo z siebie zrobić może, a ty masz duszę hartowną jak stal!

Franek.

Napróżno, Doroto, pragnę zapomnieć o wszystkim, lecz nieszczęsne marzenia powracają i prześladują mnie dniem i nocą. Nic nie wydrze Kachny z serca mego!

Dorota.

Kochaj ją jak siostrę.

Franek.

Za mało, Doroto, kocham ją jak anioła, bo nieraz była strożem moim, gdy źli ludzie

do grzechu mnie wiedli... jej niewinna twarzyczka odpędzała wszelkie pokusy!

Dorota.

Szanuj ją jak drogi sercu obraz, lecz zwróć się do innej. Przypatrz się Rózi, jaka ładna i wesoła!

Franek.

Rózia?... Nigdy!

Dorota.

Dlaczego?

Franek.

Rózia niknie przy blasku cnót Kachny. Dziewczę wtedy najpiękniejszą, gdy w swej niewinności rumieni się jak wiśnia.

Dorota.

Kachna wzorem jest skromności, Rózia próżna i za śmiała. (Na stronie.) Jaki to dobry chłopiec, choć młody, cnotę ocenić potrafi. (Głośno.) Franku, żal mi cię tu smutnego zostawić Chodź z nami zjeść wieczerzę i rozweselić się miodem; chodź, bo ja pójść muszę, ojciec Jakób lada chwili mnie zawoła.

Franek.

Zostawcie mnie Doroto; tu mi najlepiej... ale o jedno was proszę.

Dorota.

O co, mój serdeczny chłopcze?

Franek.

Nie mówcie do nikogo o naszej rozmowie, nie powiadajcie ludziom, że kocham ją jak szalony! (Ukrywa twarz w dłoniach.)

Dorota.

Franku... Franku!

Franek.

Boże! nie opuszczaj mnie!

(Słuchać wołanie Jakóba za sceną: Doroto, Doroto!)

Dorota.

Już odejść muszę; wołają mnie, Franku, otrząśnij się z żalu.

Franek.

Pomódlcie się za mnie, Doroto.

Dorota.

Dobrze, pocziwy chłopcze, ale i ty musisz być szczęśliwym jeszcze! (Wychodzi na lewo.)

SCENA VII.

Franek, później Rózia i Jan.

Franek.

Szczęśliwym! ja? Nigdy, bo jestem sierotą! Chociaż ludzie godni przygarneli, to sierotą zostanę... Ojczyzną moją i szczęściem mojem nie ziemia — (wskazując w górę) lecz niebo! (Usuwa się w głąb okna.)

(Rózia wchodzi szybko środkiem, za nią Jan, idą na przód sceny nie widząc Franka.)

Rózia.

Janie, idź do swej Kachny, masz jej pierścień na palcu; nie prześladuj mnie!

Jan.

Róziu, Róziu, słoweczko! Wiesz, że cię kocham nadewszystko!

Franek z oburzeniem na stronie.

Co słyszę?! I takiego człowieka Kachna kocha?

Rózia.

Te same przysięgi Kachnie składałeś, a teraz śmiesz je mnie powstarzać?!

Jan.

Ojciec mnie zmusza... Kachny kochać nie mogę... tyś jedyna mojem słońcem! Róziu...

Różia przerywając.

Podłym jesteś, bo chociaż jej nie kochasz,
to żenić się z nią chcesz dla pieniędzy!

Jan.

Zrozumiej mnie, Róziu: ojciec każe, ja
muszę!

Różia.

Ty niedołężny człowieku, pozwalasz się
prowadzić na łańcuchu i okłamujesz ludzi!

Jan.

Widzisz, że jestem nieszczęśliwy... więc
mnie pociesz i kochaj!

Różia.

Tak, chciałbyś pobawić się ze mną, a
żenić z Kachną... dziękuję! (Tupie nogą i
odchodzi w lewo.)

Jan błagalnie.

Rózieczko, tak zagniewaną nie oddalaj się
(odchodzi za nią.)

Franek z oburzeniem.

Krew mi się ścina w żyłach, gdy widzę
Jana! To ma być mąż dla mojej ukochanej
Kachny, to ma być opiekun mego najdroższe-
go skarbu?! (Po chwili.) Nie, na to nie po-
zwolę! Pójdę do Jakóba... wyznam jak ojcu.

Nie, nie mogę tego uczynić... odczekam, lecz idę ich śledzić. Nie... i to niegodne, nie zrobię tego: Boże, Boże, dopomóż mi, strzeż mojej Kachny! A ty, łotrze, przysięgam, odpowiesz mi za każdą krzywdę Kachnie wyrządzoną! (Wybiega środkiem.)

SCENA VIII.

Jakób i Stanisław wychodzą z lewej strony z kubkami miodu.

Jakób.

Pij Stanisławie, leniwy dziś jesteś do dzbanu, jakby w nim trucizna była, a to miodek wyśmienity!

Stanisław.

Piję dużo, serdeczny kumie, ale więcej cieszy się me serce z tego, że z Jana i Kachny będzie para, a śliczna para!

Jakób.

Co prawda, to prawda, że dobrą będzie miał żonę. Nie chwale jej dlatego, że jest córką moją ale należy jej się sprawiedliwe ocenienie za jej pracę, skrzętność, skromność, troskliwość dla ojca i biednych.

Stanisław.

Oj to, to, to, ale i mój chłopak pracowity i oszczędny.

Jakób.

Bogu dzięki za to; nie będą mieli biedy. Pracowałeś ty na Jana, ja na moją Kachnę; owoce dwojga spracowanych rąk będą złączone. Kiedy już tak mówimy otwarcie, to powiem szczerze co Kachnie dam w posagu; — Krówki cztery na pięć łózek pościeli, a złotych 10,000 pod poduszkę. Po mojej śmierci może więcej, chatę sprzedam, co mi już teraz po niej?

Stanisław na stronie.

Ślicznie, ślicznie, Jaś będzie bogaty! Dobrze szukał! (głośno.) Znanym zawsze byłeś z pracy nasz kochany Jakóbie, widzę, Bóg ci też pobłogosławił.

SCENA IX.

Ciż sami i Kachna.

Kachna wbiega z lewej zadyszana.

Oj tatulu, wesoło tańczujemy, już tchu... mi... nie staje...

Jakób.

Dobrze dziewczę moje, bądź mi zawsze tak swobodną, jak w tej chwili.

Kachna.

Wszystkie dziewczęta wesołe, parobcy śpiewają i tańczą, tylko Rózia jakaś zadęsa-na, a Franka to już wcale nie widać!

Jakób.

Franek musi być chory... niepokoi mnie, niechżeż go poszukają... Wyciągnij go do tańca.

Kachna.

Jana wyślę po niego.

Stanisław.

A Jaś, tańczy zwawo?

Kachna smutnie.

Oddała się od nas, tańczy mało, często wychodzi do sadu, nie wiem, czy chory... może go głowa boli?

Stanisław.

Zagadał się z kimś, pójdę zobaczyć. (odchodzi w głąb.)

SCENA X.

Jakób i Kachna, później Dorota i włościanki.

Jakób.

Powiedz mi szczerze, córko moja, czy
szczęśliwy to dzionek dziś dla ciebie?

Kachna.

O, szczęśliwy! Dziś czerwiejsza dla mnie
wiśnia, dziś jaskrawsze dla mnie słońce, ta
izba weselsza, bo kocham szczerze mego Ja-
na, bo wiem, że już do mnie należeć będzie!

Jakób.

A dziś zrana smętna byłaś?

Kachna.

Bo myślałam o tem, że wkrótce was o-
puścić muszę... a wy jesteście starzy, ta-
tulu, skołatani, potrzebujecie opieki. Ktoby
wam gotował, ktoby was oprał, łóżko posłał?
Ale wiem, będziecie u waszj Kachny, tatulu,
czy tak? (Całuje Jakóba.)

Jakób.

Niech ci Bóg błogosławi za tve serce!
Nie opuści cię twój stary ojciec, będzie czu-
wał i nadal przy tobie.

Kachna.

O, teraz już jestem prawdziwie szczę-

śliwą, bo będę miała ojca i Janka pod jednym dachem!

Jakób.

Ciesz się mój uśmiech, lecz chciałbym, żeby i drudzy to twoje szczęście odczuli.

Kachna.

Janek dziś nie swój, może za wiele ludzi wokoło nas, — gdy tak sobie sami gawędzimy, jest serdeczny.

Jakób.

Ale Franek dziś mi się nie podoba.

Kachna z współczuciem.

Oczy jego pełne łez... sama nie wiem, dlaczego mi go tak żal?

Jakób.

Bo przeczuwasz, że dusza jego cierpi; a godzi się mieć z nim współczucie, bo to uczciwy chłopiec, czysty jak łąka w swych chęciach i zamiarach. Przypatrywałem mu się nieraz, wstręt czuje do wszystkiego, co złe i podłe.

Kachna.

Tak chwalicie, tatulu, Franka, że mnie zazdrość bierze o Jasia, a przecież kocham Janka.

Jakób.

Dlatego, że ty go wybrałaś i kochasz —
i on stanie się dobrym; dziś jeszcze trochę
młody, lecz ty go zmienisz, moja Kachno.

Kachna smutnie, z wyrzutem.

Tatulu, wy więcej kochacie Franka!

Jakób.

Bo go znam od dziecka.

Kachna całując Jakóba.

Nie, tatulu, wy więcej musicie kochać
Jasia, bo on będzie mężem waszej Kachny!

Jakób.

Zależć to będzie od twego szczęścia.
Dorota wchodzi z lewej str. z włościankami.

Kachno, chodź, pomóż nam rozweselić
Franka; wyciągnijmy go do tańca, bo usiadł
w kącie i ma straszną minę.

Jakób.

Chodźmy wszyscy go rozruszać. (Wy-
chodzą na lewo.)

SCENA XI.

Stanisław i **Jan** wchodzą środkiem.

Stanisław.

Biegasz jak opętaniec za Rózią! Pamię-
taj, że ludzie mają oczy, że mają język, by
ciebie przed Kachną obmówić.

Jan.

Ho, ho, Kasia zanadto mnie kocha; ludzkie gadanie nic nie pomoże.

Stanisław.

O taką żonę nie tak łatwo! Pięć łózek pościeli, cztery krowy, 10,000 złotych pod poduszką... mówił stary!

Jan podskakuje.

10,000! Oj nasza!

Stanisław.

Ciesz się, bo będzie wam dobrze, ale ostrożnie z Rózią i z Dorotą — i z Frankiem, bo on dziś po kątach się kryje i ma dzikie oczy!

Jan śmiejąc się.

Ha, ha ha... (ze wzgardą) to głupiec! Do nikogo słowa nie mówi.

Stanisław.

Tyś głupcem, bo nie widzisz, co się wołoło ciebie dzieje.

Jan.

A co ojciec widzi?

Stanisław.

Że Franek dziś łyży leje, bo kocha Kachnę.

Jan.

On? Ha, ha, ha, sierota taki... nie jest niebezpieczny; Kachna bogata, nie wyjdzie za wychowanka.

Stanisław.

Chociaż Kachna za niego nie wyjdzie, ale on ciebie dla niej pilnować będzie, czy rozumiesz teraz?

Jan.

Tak źle nie będzie, chodźmy lepiej po-
tańcować, szkoda czasu!

Stanisław.

Słuchaj uważniej, ty zawsze masz mły-
ny w głowie!

Jan.

A no... bo nudno... czy jeszcze co?

Stanisław.

Szanuj Jakóba, bądź serdeczny dla niego,
bo Kachna bardzo ojca kocha.

(Mosiek wchodzi środkiem, zostaje w głębi
i słucha.)

Jan szarpie się.

I to mam czynić i tamto robić, sam już
nie wiem co?...! Jeszcze i staremu nadskar-
kiwać!

Stanisław.

Wolałbyś bawić się z Rózią! nie zrobisz tego, rozumiesz?

Jan.

Ojciec zawiele żąda!

Stanisław.

A chcesz mieć posagu 10,000?

Jan.

Naturalnie!

Stanisław.

Głupcze, więc pilnuj swego szczęścia, bo samo ono do ciebie nie przyjdzie.

SCENA XII.

Ciż i Mosiek.

Mosiek zbliża się do nich.

Szukam was, a wy tu! Dlaczego nie tańczy Jan? Młoda stoi smutna, to trzeba z nią potańcować, trzeba się umizgać.

Jan.

I wy, Mošku, o kochaniu prawicie?

Mosiek.

Jakże nie kochać i nie umizgać się do takiego kwiatu?... dziewczyna jak świeca!

Jan śmiejąc się.

Może taka lojowa, jaką w szabas palicie?

Mosiek.

Lojowa, czy nie lojowa, ale fajna panna podobna do mojej Sary!

Jan.

Zwaryowaliście, Mošku, czy co?

Mosiek.

Ne teraz, ne, ale jak Sara była młoda, była ona fajna panna, mówię wam. Była szeroka w plecach jak stodola, (pokazuje rękoma) a w pasie cienka jak śledź wimoczone. Ale i ja byłem gałentny; dygnęłem w prawo, (dyga) dygnęłem w lewo, nie tak jak wy, Janie, stoicie jak pał, jak drąg! Klaniejcie się więcej. (Kłania się.) Patrzcie, uczcie się o-demnie klaniać.

Jan naśladuje go i śmieje się.

Ha, ha, ha! pocieszny jesteście, Mošku.

Stanisław.

Prawdę mówi Mosiek, za mało starasz się podobać Kachnie.

Mosiek.

Pamiętajcie, Janie, że Stanisław, wasz ojciec, obiecał Moškowi 100 złotych, jak was

wyswata z Kachną! Rozumiecie teraz? Jak będziecie glupstwami broili, a młodej nie popilnujecie, to wam 10,000 złotych fiut! (przejeżdża ręką pod nosem.) A Moškowi 100 złotych fiut! Pamiętajcie! Sara dla bachorów chce mieć te 100 złotych i musi mieć, bo obiecaliście, a ja wam wierzę. Idźcie teraz pobawić się z młodą. (Do ucha Janowi.) Ne gońcie za Rózią, bo ma czary w oczach! Ostrożnie, ludzie was widzieli.

(Jan i Stanisław wychodzą w lewo.)

SCENA XIII.

Mosiek, później Franek.

Mosiek.

Glupi ten Jan, ja to dawno mówił. Stanisław głupi, że taki bachor wychował; ja bym mu dał, gdyby mnie nie słuchał ten mój bachor, albo mnie nie szanował! Jan... to nie mąż dla Kachny — nie wart! Mosiek powiedziałby wszystko Jakóbowi, bo to dobry chłop i dziewczyna dobra, ale Moškowi za 100 złotych. Sara ich chce i musi mieć!

Franek wchodzi środkiem.

Nie mogę znaleźć cichego kąta — wszędzie pełno ludzi, tu znów żyd natrętny!

Mosiek spostrzegając Franka.

A, a... Franek! Co wy taki kwaśny? po-
co? Dziś zrękowiny, weselić się trzeba...
hulać!

Franek.

Wiecie dobrze, że jam do hulanki nie
stworzony.

Boś ty nigdy nie próbował! Spróbuj, a
powiesz, że to dobre, że smakowało!

Franek.

Nie trudźcie się Mošku, wasze słowa nic
nie pomogą.

Mosiek.

Dlaczego ne pomogą? Bo ne sluchacie, a
ja wam mówił dawno: Na robaka kropnij-
cie wódki raz i dwa... i trzy... a zobaczy-
cie, że wam miło będzie na sercu i na żołąd-
ku (gładzi się po brzuchu.)

Franek z przekąsem.

Tak, kropnijcie wódki i przepijcie to, co
zarabiacie, a zbogacajcie Moška!

Mosiek.

Czy to źle? Wam będzie lżej na żołądku
i na sercu, a Mosiek zarobi. A czy ja ne mam
bachorów, co jeść chcą? Mosiek biedny żyd!

Franek.

Chciałbym mieć te pieniądze, które podacie, a nie byłoby mi dziś tak smutno na cu... inaczej postąpiłbym sobie... Mośku, śku, wy strasznie chciwi na grosz... duszę racilibyście dla złotówki!

Mosiek.

Poco duszę? Dusza niech będzie duszą, a złotówka może przynieść dwie i trzyówki.

Franek.

A może i dziesięć?!

Trochę wydrzeć, to nic, to nie zabije, to nie ucze ludzi uczy krzątać się. Można gęś tę podskubać, ona jednak gęsią zostanie rozumiecie, Franku! Alboż i wy nie macie pieniędzy? Jakób da, on was kocha, a wy nie macie się wódki i lżej wam będzie. Wiem ja, wam potrzeba; na ten ból to wódka najlepsza. Chodźcie, chodźcie ze mną. (Ciągnie Franka ku drzwiom.)

Franek ostro.

Nie ruszę się stąd!

Mosiek.

Chodźcie, dam wam wódki darmo; po-
n, gdzie ładna i bogata dziewczyna.

Franek z gniewem.
Żydzie, uchodź, pókiś cały!

Mosiek potulnie.

Ne gniewajcie się, Franku, wy szal-
dziś! Nu, nu, idę już, idę — tamten się z-
czył, to ja pójde grać. (Wychodzi na lew)

SCENA XIV.

Franek, później Jan.

Franek.

To zmija — nie żyd! Ile razy mnie w-
tyle razy do kieliszka namawia... Nie ra-
straszonym bólu byłbym już uległ, ale
krzyżyk, tu na piersiach zawieszony r-
matki, (całuje krzyżyk.) broni mnie od zł-
i to czyste spojrzenie mojej Kachny! (z
chwili.) Ciężki to dzień dla mnie, lecz je-
mam pociechę, że stary Jakób kłopotliwie c-
na mnie spogląda, a Kasi oczy, gdy spotk-
się z moimi, wzbierają łzami. Może ona m-
choć trochę kocha?

Jan wchodzi środkiem podchmielony i nie
spozstrzega Franka.

Głupia sprawa dwom się umizgać, jedno-
okiem strzelam w prawo, drugim w lewo.
Tamta bogata, ta milsza, bo figlarna jak k-

ka... Stary trąca mnie, Mosiek kiwa z daleka, by się umizgać do Kachny. Jakób jakiś kwaśny, a Franek... niby ryś spogląda z podełba. Głupio mi tu w tej niewoli! Gdyby nie te 10,000 złotych, rzuciłbym wszystko i poszedł z Rózią w świat! (Spostrzega się.) Miód mi zasumiał w głowie; co myślę, mówię głośno, a tu może kto słucha?! (Ogląda się.)

Franek.

Że słucha, to słucha i cieszy się, że mu Bóg dał sposobność poznania ciebie! (Wstaje i zbliża się do Jana.)

Jan przełęczniony.)

To ty tutaj? (Na stronie.) Boję się go, tak strasznie patrzy!

Franek z oburzeniem.

Dziś już parę razy byłem świadkiem twoich podłych słów, byłem świadkiem twoich przysięg, składanych Rózi, byłem świadkiem twoich kłamst, wypowiedzianych Kachnie! Kłamcą i oszustem jesteś! łotrem! Pamiętaj, dlatego, że Kachna cię kocha, milczeć będę o wszystkim, ale przysięgnij, (z naciśkiem) że ją szanować będziesz, ją tylko jedną kochać, że Rózię na zawsze porzucisz! Przysięgnij! (Bierze Jana za kołnierz i rzuca

na klęczki.) Przysięgnij! bo inaczej za jedną łzę Kachny jak psu w łeb wypalę!

Jan trzęsie się z obawy.

Frącku, przysięgam... jeno nie zabijaj!

Koniec aktu I.

AKT II.

(Izba Jakóba, jak w akcie I.)

SCENA I.

Kachna sama, siedzi po prawej stronie i przędzie.

Oj, będziesz już moim, miły Janku! Jak to błogo będzie w naszej chacie, czyściutko i ładnie: izba starannie wymieciona, stoły pięknie zmyte, firanki białe jak śnieg, łyżki świecące, jak srebrne. Chlebek jasny upiekę dla naszego tatula, a czasami i placek w niedzielę. (Po chwili.) W święta przyjdą sąsiadki cieszyć się naszym szczęściem... Suknia moja będzie zawsze skromna, lecz chędogą, obiad krótki, ale smaczny i kraśny. (Wstaje i uderza w dłonie.) Oj, oj, tak nam miło będzie pracować razem!

SCENA II.

Kachna i Franek.

Franek wchodzi środkiem z listami.

Przyniosłem listy z miasta. (Kładzie listy na stół i chce odchodzić.)

Kachna.

Zostań, Franku, nie uciekaj, dawniej tak lubiłeś ze mną porozmawiać, a teraz unikasz mnie. Powinieneś się cieszyć z szczęścia mojego! Pierścień mam na palcu, będę miała własny domek; męża, który mnie będzie kochał.

Franek powtarza w zamyśleniu.

Który mnie będzie kochał... (Spostrzeżę się) Tak, prawda, powinienem się cieszyć z twojego szczęścia, Kachno... wiesz, że ci dobrze życzę!

Kachna.

Wiem, mój Franku, wdzięczna ci też będę całe życie za to, że mnie broniłeś zawsze od złego! Tyś uczciwy, dobry chłopiec, ale bądź weselszym.

Franek na stronie.

Boże!

Kachna na stronie.

Smutek jego serce mi przeszywał! (Bierze rękę Franka.) Tyś chory pewnie? Uciekasz od ludzi, gwar cię męczy, co ci dolega? (Puszcza rękę Franka.)

Franek.

Zdrów jestem z łaski Boga. (Po chwili) Sierocie nie wolno chorować, jam stworzony do pracy.

Kachna z boleścią i wyrzutem.

Dlaczego to? Wszakże nie daliśmy ci uczuć twego sieroctwa? Franku, wszakże my wszyscy pracujemy i Bóg nas na to stworzył?

Franek.

Źle się wyraziłem, Kachno, daruj — (na stronie.) Sam nie wiem co mówię, patrząc na nią, rozum tracę! (głośno.) Kachno, jam winien ojcu Jakóbowi i tobie... wdzięczność dla was zachowam do grobu i poniosę ją tam, (pokazuje w niebo.) do Stwórcy! Ale...

Kachna.

Ale... dokończ, nie urywaj, a lżej ci będzie.

Franek.

Ale to sieroctwo moje nieraz mi jest cięż-

rem strasznym! i... dlatego na nie wymy-
am!

Kachna.

Użał mi się tak zawsze; wiesz, Franku,
cię kocham jak brata!

Franek powtarza smutnie na str.
Jak brata!

Kachna.

Chowaliśmy się razem od maleńkich dzie-
ci; powinienes mieć zaufanie do mnie jak do
siostry.

Franek z smutkiem.

Jak do siostry... Boże!

Kachna.

Dawniej powiadałeś mi wszystko, co ci
bolega, co ci niepokoi, o czem myślisz — pa-
liętasz? A teraz chodzisz ponury, milczący,
zamknięty w sobie.

Franek.

Nie zawsze można być otwartym... jakiś
ból krępuje serce i usta... (Nieznacznie ocie-
pla łzy.)

ŚPIEW No. II.

Chodzę smutny i ponury,

Patrząc z łzami w jasne chmury,

Bo gdzie dla nas pomoc z nieba,

Tam myśl wznosić ciągle trzeba:

Milczeć tylko serce może,
W Tobie ulgi szukać, Boże!
Kornie schylić muszę czoła,
Gdzie mnie wola Twoja wola:

Kochać — cierpieć — los okrutny,
Wzrok mój zatem łzami smutny,
Lecz gdy Kachnie dobrze będzie,
W pracy ulgę znajdę wszędzie.

Praca trzeźwi, wzmacnia siły,
Z nią i przykry dzień nam miły,
Chroni ludzi od rozpaczny
I spokojem duszę raczy.

SCENA III.

Ciż sami i Dorota.

Dorota wchodzi środkiem.

Co za wiele, to nie zdrowo! Przys
do was, by sobie ulżyć i wam wygadać,
ludzie za podłe plotki o tych zaręczynach
myślili!

Kachna.

Doroto, nie opowiadajcie nic złego,
dziś taka wesoła!

Franek.

Nie mówcie, Doroto; Kachna taka szc
śliwa!

Dorota.

No, no, ptaszki, nic takiego, jeszcze nigo nie powiesili, ani nie udusili! At sobie lają, aby gadać, że Jaś ledwie rozumu nie acił, jak się dowiedział, że dostanie posa-10,000 złotych.

Franek tupiąc nogą.

Doroto!

Dorota.

Ale cóż się tak srożysz? Toć nikogo jeszcze nie powiesili ani nie udusili?! Gadają k sobie, że Jan tylko pieniądze kocha, a o-kiem strzela do Rózi...

Franek zasłaniając jej usta.

Jako żyw, to nie prawda! (Do Doroty.)
Milczcie na Boga!

Kachna smutnie.

Boże, mój Boże... może ci ludzie i prade mówią?!... (Na stronie.) W niedzielę idziałam, że Jan więcej z Rózią tańczył niż e mną!

Dorota do Franka.

Czego się tak boisz? Ona go jednak nie puści, — chociaż to — (kręci głową) niedo-

bry chłopiec! (głośno.) Ale obrzydłe te
ry ludzkie, a stare kumoszki to już najg
sze! Choćby im człowiek i usta zamurow
toby uszami gadały!

Kachna.

Kto ci o tem powiadał, Doroto?

Franek.

Nie pytaj się, Kachno; ludzie muszą
wsze coś powiedzieć, nie psuj sobie szczęś
to tylko zazdrość!

Dorota.

Zazdrość, nie zazdrość!

Kachna.

Tak wesoło dziś słońko wzeszło i m
tak było dobrze na świecie... a teraz... (s
da zasmucona i głowę chowa w dłonie.)

Franek z żalem.

Doroto, to wasza вина, nie wydziera
ludziom spokoju!

Dorota.

Alboż Kachnie co robiłam?

Franek.

Jedno nieuważne słowo może być tru
zną dla bliźniego!

Dorota trącając Kachnę.

Kachno, nie trzeba tego sobie tak brać do serca, dzieciak jeszcze z ciebie! Czy nie wiesz, że ludzie bez plotek żyć nie mogą?!
(Kachna wstaje.)

SCENA IV.

Ciż sami i Jakób.

Jakób wchodzi z lewej strony.

I o czym sobie gwarzycie? Czy zaszło co?
Twarze wasze poważne i smutne!

Dorota.

Płociuchy mają zawsze stare kumy!

Franek.

Nic to, ojcze Jakóbie, nie warto o tem mówić, ale przyniosłem listy z poczty. (Podaje Jakóbowi listy.)

Dorota na stronie.

Jakiś list z sądu, bo wielki. Te listy nic dobrego nie przynoszą, zawsze ich się obawiam.

Jakób otwiera list, czyta po cichu i drżącym mówi głosem.

Boże!... Kachno... jesteście ubodzy!
(Chwieje się.) Słabo mi... wody! Boże! (Pada na krzesło, Kachna, Dorota, Franek podtrzymują go przestraszeni.)

Kachna pada przy Jakóbie na kolana.
Na Boga! tatulu, co wam? Czy jesteście chorzy? Jezu! Jezu!

Franek.

Wody! (Wybiega.)

Dorota.

A Jezusieńku! co wam, ojcie Jakóbie?

Franek niosąc wodę.

Tu jest woda.

Kachna podaje Jakóbowi wodę.
Pijcie, czy wam lepiej?

Dorota.

Nie pytaj się, Kachno, mówienie męczy, tu odpoczynku trzeba. (Do Franka.) Mówił, że są ubodzy, co to znaczy?

Franek do Doroty.

Alboż ja wiem! (Do Jakóba.) Może się położycie, ojcie?

Jakób słabym głosem.

Nie... dziatki... to... przejdzie... Bóg
mnie wzmocni!

Franek.

Oby wam jak najprędzej dodał siły! (Do
Kachny.) Nie lękaj się, Kachno, to tylko sła-
bość chwilowa.

Dorota na stronie.

Straszny cios go spotkał; coby to być
mogło? Czy kto umarł, czy proces przegrał?
(Do Jakóba.) Zapomnijcie, ojcze Jakóbie, o
wszytkiem! Pierwsze zdrowie, a macie dla ko-
go żyć i oszczędzać się.

Jakób.

Prawdę mówicie, Doroto, jam potrzebny
mojej Kachnie.

Franek chyli się do nóg Jakóba.

Ojcze Jakóbie, i mnie dopomagajcie ra-
dą jak najdłuższe lata — jam sierota!

Jakób.

I tobie, Franku, — i tobie, chętnie bar-
dzo, jeżeli to cenić potrafisz. (Całuje Franka
w głowę.)

Franek.

Wiecie, że was kocham jak ojca!

Dorota staje przy oknie.

Nie rozczulajcie ojca Jakóba; trzeba go rozweselać. — (Patrzy przez okno.) W sam czas idą goście do was, Stanisław i Jan, może wam pociechę i ulgę przyniosą.

Jakób.

Boże, mój Boże!

Kachna.

Uspokójcie się, tatulu.

Franek.

Bóg nad nami!

Jakób.

Prawdę mówisz, — dobry z ciebie chłopiec. Ufajmy w miłosierdzie Pana!

SCENA V.

Ciż sami, Stanisław i Jan.

Stanisław i Jan.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Jakób.

Na wieki!

Kachna.

Witajcie do nas!

Jan.

Jak się masz, miła Kachno? (Podają sobie ręce.)

Kachna.

Dobrze, Janku, ale ojciec nam zasłabł...

Stanisław.

A cóż wam to Jakóbie?

Jakób.

Zgryzota! złe nowiny, przyjacielu, — zużyliśmy w jedną godzinę!

Stanisław przerażony.

Cóż to znaczy?

Jan.

Nie rozumiem!

Jakób.

Wiedzieliście od dawna, że niemiecki graf nie procesował o ten kawałek chleba, który zierzę z łaski Boga, procesował i wygrał. Wiedzieliśmy się, że już sprawa skończona, że miało zaciągnąć moją dług i dać Kachnie 10,000 złotych posagu, — a wtem... do wyższego sądu zaniósł graf skargę... i przegramy!

Stanisław z boleścią.

Chryste!

Jan ze złością.
To szkaradnie! (Kachna płacze.)

Dorota.
To niesprawiedliwie!

Jakób.
Graf pieniędzmi świadków sobie kupił,
od dawna zawiść w sercu nosi do mojej
dziny.

Dorota.
Czy mogą być ludzie tak podli? Czem
wytłomaczą przed Bogiem to krzywoprz
sięstwo?

Franek.
Czem odpłacą te krzywdy bliźnim wyrz
dzone?

Kachna.
Czem nagrodzą ten ból i łzy nieszczęś
nych?

Jakób.
Niestety są takie podłe dusze, które n
pomyślą nawet o karze, ani o nagrodzie i
śmierci bo za mało cenią i znają sprawiedl
wość Boga!

Kachna płacze.
Mój Boże, mój Boże... i cóż z nami s
stanie?!

Jakób kładzie rękę na głowę Kachny.

Nie płacz, Kachno moja, to wola Boża; podobało się Bogu nas zasmucić — niech imię Jego będzie błogosławione! Masz zdrowe ręce, dziecko moje, pracowitą jesteś; nie będzie ci źle na świecie — ojciec i twój Jaś cię nie opuszczą!

Franek,

A jeżeli wszyscy o nas zapomną — Bóg będzie nam ojcem!

Stanisław cicho do Jana.

Ho,... ho,... to źle się dzieje!

Jan cicho do Stanisława.

Przepadło w grunt piekła 10,000 złotych!

Dorota.

Jakoś buzi nie macie, Janie, by Kachnę pocieszyć!

Jan.

A cóż jej poradzę?

Stanisław.

A cóż ma mówić?

Jakób.

Nie swarście się... smutku i tak dosyć!
Chodźcie, Stanisławie, do sadu, (Jakób wy-

prowadza Stanisława) pod jabłoń; może tam jaką radę wymyślimy. (Stanisław i Jakób wychodzą środkiem.)

SCENA VI.

Ciż, prócz Stanisława i Jakóba.

(Dorota rozmawia z Frankiem w głębi sceny, przy oknie Jan i Kachna)

Kachna z żalem.

Janku... tyś smutny, czy dlatego, że jestem ubogą?

Jan.

Eh!... gdzie tam!

Kachna.

Mam oczy zdrowe, ręce silne, będę ci szczerze pracowała. Bóg dopomoże, Janku!

Jan.

Pocóż sobie głowę łamać? Będzie rada!

Kachna.

Janku, spojrzij mi w oczy.
Dlaczego?

Kachna.

Dlaczego?... Janku, two serce mi dziś kłamie!

Jan.

Przez łzy patrzysz, nie widzisz dobrze.

Kachna.

O widzę... widzę...

Jan patrząc w okno, na stronie.
Jaka śliczna! Co za oczy!

Kachna.

Co tobie? Tak się czerwienisz... (patrząc w okno, n. str.) Rózię widzi. Boże!

Jan odprowadza Kachnę od okna.
Chodź, Kachno, pójdziemy do sadu, dziś dzień prześliczny; tam są i nasi ojcowie, porozmawiamy razem.

Kachna smutnie.

Idę... idę... (Wychodzą środkiem.)

SCENA VII.

Dorota i Franek zbliżają się do widzów rozmawiając.

Dorota z przekąsem.

A co, Franku, widziałeś, jak posmutnieli? Zużył to oblubieniec i kochany przyszły teściulek!

Franek.

Doroto, to są źli ludzie!

Dorota.

Dawno jam to w uszy kładła Jakóbowi a cóż? Starej nikt nie wierzy. Każdy mówi stara plotki lubi! No, no, no, zobaczymy czy to plotki... (Po chwili.) Biedna Kachny ciębie mi żal, twego szczerzego serca, które tak wiernie przylgnęło do Jana... Biedna ptaszyna, odboli to niemało!

Franek.

A może też Pan Bóg to na dobre wyki-ruje? Jan nie wart Kachny!

Dorota.

Alboż ci to sama nie mówiłam? Moja głowa nikt nie przeprze! Niema złego, któreby na dobre nie wyszło, a niezawsze to szczęściem, co nam się szczęściem zdaje. Pamiętam dobrze, lat temu dziesięć i my z Marcinem, Panie świeć jego duszy, ponieśliśmy wielkie straty przez pożar. Co to było łamer-tu, rwania włosów i głębokiej troski! Po-
upadliśmy zupełnie, nie było na potrzeby ko-nieczne, a cóż dopiero na bułki i wódkę! Co się stało? Mój Marcin, który dawniej lu-

bił zaglądać do kieliszka, zaczął teraz gorliwie pracować, odzwyczaił się od trunków, stając się porządnym człowiekiem. Nasza strata więc, nasz ból na dobre nam wyszły! I tu tak być może — ale gadu, gadu, a tu czas krówki doić. (Odchodzi w lewo.)

Franek.

Pójdę i ja konie napaść, trzeba pracą ojcu Jakóbowi dopomagać — niczem innem nie mogę... O, czemuż ja ubogim?! (Odchodzi za Dorotą.)

SCENA VIII.

Mosiek, później Różia.

Mosiek wchodząc zwolna środkiem.

Nikogo ne ma, a to co? (Woła.) Doroto! Doroto! Czycho... nycz... pewnie są przy robocie; a chciałbym chętnie z Jakóbem pogadać, ile on to Kachnie posagu da, chciałbym każdy grosz dokładnie obliczyć, bo Stanisław obiecał procent. Sara chce, Sara musi mieć! Jan musiał mi przyrzec więcej... głupi chłopak, kiedy obiecał, niech da! Mosiek weźmie i schowa, bo on jednak zmarnuje... głupiec! Ale czycho, ktoś idzie.

Rózia wchodzi ostrożnie środkiem.
A... to wy tu, Mošku!

Mosiek.

A co panna Rózia myślała? Nie ja, czy kot, czy co?

Rózia.

Myślałam, myślałam, że wilk!

Mosiek.

Wilk? A czy ja do wilka podobny?

Rózia.

Czasami.

Mosiek.

Jakto? Wilk ma zielone oczy, a ja mam fajn czarne! Dlaczego ja do wilka podobny?

Rózia.

Bo wilk jest drapieżne zwierzę.

Mosiek.

A czy ja drapieżne zwierzę? Ne mam przecież lap zakrzywionych, a czy ja kogo zjadł, a co ja zrobił?

Rózia.

Co zrobił? Wy sami najlepiej wiecie. Ludzi nieraz namawiacie do wódki, do sprzedaży chaty, zboża, sukmany i zarabiacie grubo...

to tak, jak gdybyście byli wilkiem, co ludziom krzywdę wyrządza!

Mosiek obrażony.

Co panna Rózia gada? Niech panna Rózia czycho będzie, to ne trzeba tak mówić, to obraza, do kozy za to można iść!

Rózia śmieje się.

Jakto mi wygraża! Mósku, Rózia się kozy nie boi!

Mosiek.

Ja nyc złego ne robił — to ne prawda!

Rózia na stronie.

Nie może się uspokoić — w samo jądro trafiłam; dobrze mu, poco ludzi do złego prowadzi!

Mosiek.

Jak panna Rózia będzie tak gadać, to chłopcy ne będą kochać, bo oni ne lubią takiego mądrowania, a panna Rózia będzie musiała starego Mośka kochać!

Rózia śmieje się.

Ha, ha, ha, dobrze, Mośku, ale musicie codziennie się umyć i brodę zgolić!

Mosiek.

Brody Mosiek nie zgolić bo Sara lubi brodę, a myć... poco? Brrr... zymno, Mosiek ne lubi wody, mówią, rozum zmywa, a Mosiek musi być mądry! Jabym panie Róży dal do kochania ładniejszego chłopca.

Rózia z ciekawością.

A którego?

Mosiek.

Ale ne będzie panna Róža gadać, że ja wilk? Bo, bo...

Rózia.

Nie, już nie powiem; a jakiego macie dla mnie chłopca?

Mosiek.

Tu blisko jest, ładny — dobry!

Rózia.

Franek! Co wam to do głowy przychodzi! Frankowi jeszcze nigdy ożenek w głowie nie zaświtał!

Mosiek.

A dlaczego?

Rózia.

To dzieciak jeszcze.

Mosiek.

Ladne dziecko, ma dwadzieścia i parę lat! Mnie panna Róża ne wyprowadzi w pole, wiem ja dlaczego, ale na to jest rada: pięknie mu w oczy patrzeć, to i zapomni o tamtej! Stary Mosiek wie co to znaczy pięknie patrzeć, co to za siła w ładnych ślipkach, a panna Róża ma oczy jak błyskawice!

Różia śmieje się.

Ha, ha, ha, uciekajcie, Mošku bo z tej błyskawicy wypadnie piorun i jeszcze was zabije!

Mosiek cofa się w głąb.

Nu nu, już idę — niechno panna Róża pamięta o Franku, a ne mówi na Moška "wilk", to pannie Róży dobrze z tem będzie! (Odchodzi środkiem.)

SCENA IX.

Różia sama, po chwili.

Co to za przebiegły żyd! Nie oderwiesz mnie od Jana, nie, nie! Wiem, że ci Stanisław procent od posagu Kachny obiecał... wiem, ale nie zobaczysz go, Mošku... nie...

nie... bo z tej mąki chleba nie będzie! Ale gdzież oni są wszyscy? Chciałam się dowiedzieć, co tu się dzieje i czy Kachna bardzo zajęta Jasiem. (Idzie do okna.) A... są w ogrodzie, przynajmniej stąd im się przypatrzę. (Po chwili.) Kachna płacze, Jaś kwaśny, Jakób i Stanisław przepierają się. (Po chwili) Nie wiem, co mnie za siła ciągnie do Jana? I żegnam się krzyżem świętym i modliwę mówię, a co ciągnie, to ciągnie... Jezus! Marya! czy zły duch?! (Po chwili) Serce mi mówi, że Jaś moim będzie! Ale cóż na to powie wieś cała? Co na to powie sumienie? Odmówiłaś oblubieńca Kachnie, poswarzyłaś kumów... ksiądz proboszcz nie da rozgrzeszenia! — A nie pragnij tego, uczyli nas, co nie twoje: ani żony, ani wołu, ani osła. (Po chwili.) Cóż mi ta Kachna zrobiła, że jej taką krzywdę chcę wyrządzić? Wszak ona Janka bardzo kocha będzie nieszczęśliwa... hm... hm... to prawda, trzeba się poprawić. Pójdę się pomodlić do figury, może złe myśli mnie opuszczą. (Po chwili z radością.) Zobaczył mnie Jan w oknie, jak się ślicznie uśmiechnął! (Chwyta się za serce.) Jasiu, Jasiu, ja cię jednak kocham!

ŚPIEW No. III.

Niech nas i kilka zwiąże pierścieni,
Serce z niewoli jednak uciecze!
Wróci, gdzie miłość szczerą promieni,
Chociaż swe szczęście nieraz odwlecze.

Jakiż okropny przymus synowi,
Gdy tak rodzica woła go gniecie;
Ciężkim wyrzutem kiedyś odpowie,
Jeśli przykrości walką nie zmiecie.

Szczęście to nasze w chacie ubogiej
Wtedy zabłyśnie jasno i szczerze,
Gdy je ogrzewa cierpła dłoń drogiej,
Gdy się z miłości dwoje pobierze.

Zasłona spada. — Koniec aktu II.

AKT III.

(Scena przedstawia sad Jakóba: po lewej stronie w głębi widać chatę, przed nią ustawiony warsztat ciesielski, ławka pod drzewem po prawej stronie.)

SCENA I.

Jakób i Franek obrabiają drzewo przy warsztacie.

Jakób.

Szczerze dla nas pracujesz, Franku, za-
ledwie świtało, już byłeś przy warsztacie.

Franek.

Jedyny to sposób żeby wam wdzięczność swoją okazać, ojcze Jakóbie.

Jakób.

Nie chcę tego i nie żądam, mój synu, abyś dla nas swe siły stargał; za gorliwym jesteś przy pracy!

Franek.

Co ludzie zabrali, ludzie wypracować muszą, żeby się szkoda powróciła.

Jakób smutnie.

Już to dla nas raj stracony! Tę chatę i tę czarną glebę opuścić musimy! (Po chwili) Wynajmę izbę u kuma i zapracuję na chleb rzemiosłem, a może Pan Bóg nam pobłogosławi.

Franek.

Śniło mi się dzisiaj, że byliście bogatym, ojcze Jakóbie, a mnie wielkie szczęście spotkało... mówiła mi o tem we śnie nieboszczka matka.

Jakób.

Dałby Bóg, żeby się twoje sny sprawdziły, żeby nam weselej było w chacie, bo teraz biedna moja Kachna płacze i płacze... (Po chwili.) Żal mi dziecka, ale nie żal takiego zięcia.

Franek z oburzeniem.)

O, ten niegodziwiec, jak mógł porzucić Kachnę dla jej ubóstwa?!

Jakób.

Prawda, Franku, aleć dobrze, jeżeli tamtę kocha, że się i z nią żeni, to i naszej Kachnie z tem lepiej.

Franek z uczuciem.

Kachna kochała szczerze Jana; to boli, ojczy, jak serce nie odpowiada sercu!

Jakób.

Dziwnie mówisz — tak, jakbyś doświadczał tego, mój Franku; sądzę, że ciebie wszyscy kochają i kochać muszą!

Franek.

Miłość miłości nie równa; inaczej czasem dusza pragnie.

Jakób.

I to prawda, miłość Kachny była niewinna i szczerą, Jasia udawana, obłudna.

Franek.

Podobno już jutro zrękowiny Jasia z Rózią?

Jakób.

Co, już jutro?

Franek.

Tak słyshałem.

Jakób.

Nie mów tego Kachnie.

Franek.

Dorota wypaplała; już wie o tem biedactwo.

Jakób.

Dobra kobiecina ta nasza Dorota ale język u niej na trzy mile! (Zdała widać Dorote.) Otóż i ona.

SCENA II.

Ciż i Dorota.

Dorota.

Boże pomagaj!

Jakób i Franek.

Bóg zapłać.

Dorota.

Zapracujecie się ojcze Jakóbie; to nie na wasze stare lata.

Jakób.

Staremu praca przystoi ale długi język,

to nie. Pocóż było powiadać Kachnie, że jutro zrękowiny Jana?

Dorota.

No, no, czy to co złego? Jeszcze nikogo nie powiesili ani nie udusili! Lepiej że o tem wie zawczasu, bo i w tej oto chwili byłaby się dowiedziała.

Jakób.

A to skąd?

Dorota.

Bo widzicie, kumie, sumienie ich ruszyło: poszli do kościoła, proboszcz nie chce dać rozgrzeszenia, mają się wpierw z Kachną i wami pogodzić i was przeprosić. Przyszli tu, ale stoją za sadem, bo się wstydzą.

Franek na stronie.

Teraz się wstydzi — a nie wstydził się kłamać sercem Kachnie!

Dorota.

Franku, idź do chaty, bo przy tobie nie przeproszą; a zawołaj Kachny, ja pobiegnę po nich. (Franek wchodzi do chaty, Dorota wychodzi środkiem.)

SCENA III.

Jakób, później Kachna.

Jakób siada pod drzewem na ławce.

I cóż teraz będzie z Kachny mojej? Zadręczy się bólem, zmarnieje — jej serce za-
tkliwe, za poważne — niestety! kochała Jana!
(Po chwili.) I jakież biedny ojciec leki na to
wymyśli? Starzy mówią: klin klinem wybić.
Prawda, ale jak tu sobie poradzić? Bieda ka-
że nam pracować, żeby zarobić trochę grosza
na chleb powszedni — nie możemy teraz my-
śleć o swatach. Zresztą — któż weźmie bie-
dną i wzgardzoną dziewczynę? Ale... jest
Bóg nad sierotą i wskaże mi godnego zięcia,
który ją oceni i pokocha, a ze mną ubóstwo
podzieli!

Kachna wychodzi z chaty smętna.

Tatulo mnie woła?

Jakób zbliżając się do niej i biorąc ją za rękę.

Córko moja, rozjaśnij czoło. Ciesz się,
że ci, którzy twemu sercu kłamali, opuścili cię
na zawsze, bo nigdy nie byłabyś z nimi szczę-
śliwą. Szukaj tych, co cię kochają, a są tak
blisko ciebie. Tamtym przebaczone, bo my
wszyscy ułomni ludzie, bo to bliźni twoi, a
bliźniego kochać mamy, jak siebie.

Kachna.

Nie złorzeczę im — ale serce mnie boli.
(Kachna płacze, zdala widać Dorotę, Rózię i Jana. Kachna spostrzega ich i tuli się do Jakóba.) Boże! oni!

Jakób.

Idą cię przeprosić; ułatwiał im, bo łatwiej przebaczać, niż przepraszać.

SCENA IV.

..Ciż, Dorota, Rózia i Jan zbliżają się do Kachny.

Dorota.

Kachno, Rózia i Jan proszą, abyś im przebaczyła; jutro ich zaręczyny.

Jan.

Przebacz, Kachno!

Rózia przystępuje do Kachny i wyciąga do niej rękę.

Nie gniewaj się, Kachno; jam walczyła z sobą, lecz coś mnie parło do Jana!

Jan.

A mnie do Rózi.

Kachna drżącym głosem, podając rękę Rózi.

Niech Bóg wam tak przebaczy — jak ja przebaczam — niech wam błogosławi!

Jakób podnosi ręce w górę.
Niech wam błogosławi!

Kachna podając rękę Janowi.
Idźcie z Bogiem! (Jan i Rózia wychodzą
w milczeniu).

SCENA V.

Jakób, Kachna i Dorota.

(Kachna siada na ławce i pochyla głowę.)

Dorota obejmuje Kachnę.

Kachno, dobry z ciebie dzieciak! O, będziesz ty bardzo bardzo jeszcze szczęśliwą.
Bóg ci wszystko nagrodzi.

Jakób.

Tak i moje serce mówi. Pójdiesz i ty wkrótce z wianeczkiem do ołtarza ale przy sięgniesz chłopcu tak dobremu jak ty sama.

Kachna z wyrzutem wstaje.

Tatulu, co mówicie?

Dorota.

Choćby ja się domyśliła.

Jakób.

Doroto, Doroto, wasz języczek.

Dorota.

No, no, jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Cicho już będę pójść sobie.

Jakób.

Nie, Doroto, zostaniecie teraz przy Kachnie, bo mnie woła pilna sprawa. (Odchodzi do chaty.)

SCENA VI.

Dorota i Kachna.

Kachna.

Jam wiele przeżyła w tym czasie, Doroto.

Dorota siadając przy Kachnie.

Za czułą, za dobrą jesteś, Kachno; kto by to dla chłopca płakał? Mój Jezu, gdym była młodą, codzień był inny! Tańczyło się, śmiało i gadało z nimi, ale płakać dla nich? Poco? A ciebie, Kachno, jeszcze wszyscy tak kochają.

Kachna.

Ale jam kochała jednego!

Dorota.

Jednego, jednego, eh! co tam jednego! Wiem jeszcze o jednym którego może więcej kochasz niż Jana.

Kachna z zdumieniem.

Więcej niż Janka?

Dorota.

Nie pytałaś się pewnie jeszcze serca twego, Kachno, a Franek? Ten serdeczny chłopiec?

Kachna.

Franek?

Dorota.

Zwróć myśli twoje w dziecięce lata: pamiętasz, Kachno, jak Franek wspólnie się z tobą bawił? Jaki był cierpliwy, uważny, jak cię bronił i strzegł?

Kachna.

Pamiętam.

Dorota.

Przypomnij sobie całe jego postępowanie, co za dusza w tym człowieku, jak on ciębie wiernie kocha od dziecka! Przypomnij sobie.

Kachna.

W pamięci stają te chwile wyraźnie, tak to były błogie chwile niewinnych dzieci.

Dorota

Uważaj, co się dzieje teraz. Widziałam, jak płakał na twoich zaręczynach, a i dziś, ile razy na cię spojrzy, łzą mu oko zachodzi. Kachno, powiedz, co nosisz w sercu dla tego dobrego chłopca?

Kachna.

Wdzięczność.

Dorota

Wdzięczność — i nic więcej? Nie wierzę!

Kachna.

Doroto, Doroto, za wiele żądacie.

Dorota

Spojrzyj Frankowi w oczy, Kachno, a sobie głęboko w serce, a zrozumiecie się. To niepodobno, żeby tak szlachetne dusze do siebie należeć nie miały! (Po chwili.) Kachno, wierz mi, Bóg wie, co robi; Opatrzność Boża nad losem twoim czuwa, abyś nie wpadła w szpony drapieżnego ptaka.

Kachna.

Co mówicie, Doroto? Przecież Janek...

Dorota przerywa.

Cicho, duszko moja, nie broń go, ale kochaj Franka. Tak dziwnie na mnie patrzysz, Kachno, nie lękaj się, jam stara, znam serca ludzkie. Jan troszkę ci w głowie zakręcił, ale to tylko na krótko. Nie byłabyś z nim szczęśliwą, za prędko poznałabyś jego błędy. Dla twojej duszy potrzeba duszy czystej jak kryształ. Rozważ sobie wszystko, Kachno, ale też rozważ; ja pójść muszę do gospodarstwa. (Dorota odchodzi.)

SCENA VII.

Kachna, później Mosiek.

Kachna.

Rozwagać mam... poco? Widzę teraz wszystko trzeźwo i jasno. Dużo prawdy zawierają słowa Doroty. — Poznaję dziś, że miłość moja do Jana, to była tylko chwilowym szaleńcem, czuję, że ta miłość stygnie; że mnie coś od niego odpycha. Franek? Boże, on dobry, on bardzo dobry, ale im się wszystkim tylko zdaje, że mnie tak gorąco kocha! Wszakby mi to teraz powiedział, widząc moje nieszczęście, gdyby mnie rzeczywiście kochał? Widzę go tylko smutnym i milczącym. A może przypuszcza, że go nienawidzę? Lecz porzućmy te myśli, one nam siłę i spokój odbierają, a jedno i drugie nam potrzebne do pracy dla chleba. Trzeba pomyśleć o zarobku, by ojcu przysporzyć, a nie być mu ciężarem. Biedny tatulo, cóż on zrobi? Słaby, stary, skołatany, nie wytrzyma długo przy rzemiośle. Muszę sama radzić o ojcu i o sobie, nie pozwolę mu na starość tak ciężko pracować, nie, nie.

Mosiek wchodząc z prawej strony.
Ojciec w domu, panno Kachno?

Kachna.

Jest w domu, Mošku. t

Mosiek.

Smutna jakoś panna Kachna, poco? Nie żalować chłopca, tego chwastu dosyć na całym świecie, nie żalować, bo wszędzie on rośnie.

Kachna.

Nie mówmy o tem, Mošku, lepiej doradźcie mi służbę dobrą, żebym ojcu dopomódz mogła.

Mosiek.

Służbę? poco? Szkoda panny Kachny; ja żyd, ale ja lubię Kachnę, bo uczciwa panna, jabym dal posadę ojcu.

Kachna zdumiona.

Wy Mošku?

Mosiek.

Nu, i co za dziwy? To już Mosiek nycz, to już Mosiek na całej kuli ziemskiej nycz nie znaczy? Zobaczy panna Kachna, (bierze się pod boki.) ho, ho, ho, Mosiek ma sławę!

Kachna.

Nie gniewajcie się Mošku, może macie posadę, wierzę wam.

Mosiek.

Mam i dam ją ojcu, ale trzeba zapłacić; a ne wiecie wy, panno Kachno, czy ojciec ma wiele pieniędzy?

Kachna.

Skądżeż ma mieć pieniądze, jeżeli mu wszystko zabiorą? Gotówki ojciec nie ma; chciał dług zaciągnąć na chatę i glebę, by mi dać posag.

Mosiek.

To źle, bez pieniędzy to nycz. (Na stronie.) Mosiek musi zarobić, Sara chce, bachur potrzebuje. Ona pewnie ne wie, bo młoda jeszcze z niej gaska; przyjdzie stary to pogadamy.

Kachna.

I gdzież jest ta posada?

To się ne powiada, bo sprawa się popsuje, Mosiek sam wie i będzie buzę czycho trzymał.

SCENA VIII.

Ciż, Jakób i Franek.

Jakób wychodzi z chaty, rozmawiając z Frankiem.

Widzisz, mój synu, to lepiej jak najprędzej, bo człowiek się ludzi niepotrzebnie i jest

jak ptak na wylocie; a tak, wyniesiemy się i zaczniemy rzemiosło prowadzić.

Franek.

Żal mi tej chaty, bo była świadkiem dziecięcych lat moich, lecz wy najlepiej wiecie, ojcze Jakóbie, co czynić wypada.

Mosiek.

A co wy chcieliście robić, ojciec Jakób?

Jakób.

Iść na komorne do większej wioski i tam zarabiać rzemiosłem.

Mosiek.

Za lichego chleba, wy już do tego za starzy.

Jakób.

Franek mi dopomoże.

Kachna.

I ja przecież, tatulu. Pójdę w służbę, Mosiek wystara mi się o dobre miejsce.

Franek.

Kachno!!!

Jakób.

Co mówisz? Dziecko złote i ty chcesz opuścić ojca na stare lata?

Kachna.

Tylko dlatego, tatulu, żeby wam pomóc. Wszyscy nie możemy być razem, bo

na to dziś nie mamy. Dorota słaba i stara, jej potrzeba, aby przy was została; ona mnie zastąpi. Serce mnie boli, lecz pójść muszę, żeby wam pomódz, tatulu!

Franek.

Dniem i nocą pracować będę, lecz nie opuszczaj nas Kachno, bo słońce zagaśnie w chacie naszej!

Jakób.

Pamiętaj, Kachno, co ci Franek powiedział; odgadł on myśl twego ojca.

Mosiek.

Ne chodzić w służbę, ale kupy się trzymać i gniazda ojcowskiego. Ojciec Jakób ja mam dla was posadę.

Jakób z radością.

Co mówisz? jaką?

Mosiek.

Pewien Pan bogaty, który ma fabrykę, zawolał mnie i powiedział: "Mosiek, w tygodniu wystarasz mi się o uczciwego człowieka na dozorcę przy mojej fabryce; dostanie 300 rubli pensyi i zboża tyle, ile potrzebuje na utrzymanie rodziny. Może mieć nawet liczną rodzinę, byle był uczciwy i mnie ne kradł". Tak mówił ten pan, a że wy, ojciec Jakób, człowiek porządny, to ja wam chcę to dać.

Jakób.

Dziękuję wam, Mošku, dobre macie serce.

Mosiek skrobie się w głowę.

Ale jabym też chciał co zarobić; wy wiecie, Jakóbie, że Sara chce, że bachur potrzebuje, Mosiek musi zarobić.

Jakób.

Niestety nic nie posiadam, Bóg mi świadkiem!

Franek.

A ilechcecie, Mošku?

Mosiek.

Bardzo mało — sto rubli.

Franek ze zdumieniem.

Aż sto rubli?!

Jakób.

Mošku, przecież my teraz jesteśmy zupełnie biedni.

Franek n. str.

Siedmdziesiąt rubli mam — przyniosę i rzucę żydowi! Boże, radź mi, co uczynić z resztą? (Biegnie do chaty.)

SCENA IX.

Jakób, Kachna, Mosiek, Dorota wchodzi głę-
bia, później Franek.

Kachna prosząc.

Mošku, dobry Mošku, dajcie tatuli tę po-
sadę; pójdę w służbę, to wam oddam póź-
niej te sto rubli.

Mosiek.

Posada będzie zaraz, to i sto rubli musi
być zaraz. Mosiek potrzebuje, musi kupić to-
waru do karczmy, musi zapłacić dzierżawę.

Franek wraca z woreczkiem pieniędzy.

Mošku, zaoszczędziłem sobie 70 rubli, o-
to je macie, lecz dajcie tę posadę ojcu Jakó-
bowi.

Jakób powstrzymuje Franka.

Synu mój, co chcesz czynić?!

Kachna.

Franku, jakiś ty dobry!

Mosiek.

Nu, dobrze, dam posadę, ale dajcie je-
szcze i tę resztę, inaczej nie mogę, ne, ne mo-
gę!

Franek.

Jak tylko ojciec Jakób będzie na posadzie
to, Mošku, odsłużę resztę.

Jakób przerażony.

Jakto?

Mosiek.

Jakto wy myślicie, Franek?

Franek.

Prosta rzecz: zawsze macie na karczmie kogoś do pomocy, pójdę do was służyć za te 30 rubli.

Jakób i Kachna.

Franku!

Mosiek.

Nu, to dobrze, wyście dobry chłopak, ja was biorę, zgoda.

Jakób z wzruszeniem.

Synu mój, tej ofiary od ciebie przyjąć nie mogę!

Kachna.

Franku, jakiś ty zacny!

Dorota do Kachny.

Czy poznajesz teraz, Kachno, co złoto prawdziwe?

Kachna.

Nie zawstydzajcie mnie, Doroto!

Franek z uczuciem.

Ojcze Jakóbie, winienem wam całe moje wychowanie, winienem wam tyle szczęśli-

wych chwil w życiu, przyjmijcie więc tę małą ofiarę.

Jakób przyciska Franka do serca.

Synu mój, ani jednej ani drugiej ofiary od ciebie przyjąć nie mogę! Tyś pracował, oszczędzał, wszystkiego sobie odmawiał, by nazbierać trochę grosza, a ja miałbym ci zburzyć całą twoją nadzieję na przyszłość?!

Franek pochyla się do nóg Jakóba.

Ale ja was błagam o to, ojcze Jakóbie! Jeżeli nie macie względu na me szczerze prośby, miejcie wzgląd na waszą Kachnę!

Dorota

Mam i ja trochę grosza; te 30 rubli dam wam, Mośku, za Jakóba, a Franek niech będzie wolnym! A wy, ojcze Jakóbie, przyjmijcie tę pożyczkę od Franka, pamiętajcie o waszych starych latach.

Mosiek.

Zgoda! posada jutro będzie napewno.

Jakób.

Poczciwa Doroto i ty, mój Franku, chodźcie do mnie; piersi moje nie pomieszczą chyba tych uczuć, które mną owładnęły. Bóg wszechmogący niech wam płaci! (Podaje im rękę i osłabiony siada na ławce.)

Dorota

Nie wzruszajcie się tak, ojczy Jakóbie, to zdrowiu szkodzi. Wszak my rozumiemy was kochamy i wdzięczność wam winniśmy, Franek i ja!

Jakób.

Doroto, do śmierci zostańcie pod moim dachem; zastąpcie matkę mej Kachnie! (Dorota płacze.) Franku, nie mam słów dla ciebie! (Z wielkiem wzruszeniem.) Tobie inna należy się nagroda... Kachno, chodź do nas; (Kachna zbliża się.) przekonałaś się, jaką zącną duszę ma Franek, przekonałaś się jak cię kocha... przyjmij go za męża!

Franek z radością.

Boże!

Kachna z wzruszeniem.

Tatulu!

Jakób.

Najlepszego przyjaciela daje ci ojciec!

Franek.

Kachno, słówko jedno!

Kachna podaje mu obie ręce.

Jam twoja!

Franek.

Boże, dzięki Ci! (Przyciska Kachnę ręce do piersi.)

Mosiek z wzruszeniem n. str.

Co to za dobrzy ludzie! Co to za godne serca! A ojciec Jakób to tak, jak nasz stary patriarchy Jakób. (głośno.) Nu, nu i Mosiek nie z kamienia i Mosiek ma serce — nie chce sto rubli za posadę. Nu, dajcie tylko pięćdziesiąt — nu niech, mniej nie można, bo Sara chce, bo bachor chce!

Jakób.

Niech ci Bóg nagrodzi, Mošku! A wy Kachno i Franku, dziękujcie Opatrzności Boskiej, że temi drogami was wiodła, bo ojcowskie moje serce szczęście wam wróży!

ŚPIEW No. IV.

Gdy zatli miłość w sercu człowieka,
Niech losy swoje Bogu powierzy,
Z gorącą wiarą ufa i czeka,
Aż ziemskie szczęście Stwórcą wymierzy.

Odziewa lilie szatą śnieżystą,
Przystraja trawę w zieleń majową,
Da tobie chatę ciepłą i czystą,
Lecz dziel się z Panem serca połową.

Da gniazdko ptakom, daje ziarneczko,
A słońce jasne grzeje ich dzieci;
Dziękują Bogu dźwięczną piosneczką,
Co z rana w niebo rosą uleci.

Zasłona spada.

KONIEC.